

ŚLEPE PAŃSTWO
Polska bezradna
wobec przyszłości

UCHODŹCY
Czy PiS ulegnie
Kościołowi

ATWOOD GÓRĄ
Tak się trafia
na sztandary

TEGO SIĘ NIE JE
Czym się rządzi
ludzkie menu

ALASKA
Stąd widać
jutro

Kraków 23 lutego 2020 nr 8 (3685)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Biskup oskarżony

Na co czeka Watykan



→ Władze Nikaragui przystały na ofertę Pekinu, godząc się na oddanie całkowitej kontroli Chińczykom nad pracami przy przekopie i wywłaszczeniu ziemi. Managua zignorowała przy tym zagrożenie, jakie projekt mógł oznaczać dla środowiska naturalnego jeziora i okolic. Inwestycję wartą 50 mld dolarów miała prowadzić spółka HKND Group z Hongkongu, na czele z multimiliardern Wang Jिंगem, a termin jej zakończenia ustalono na 2020 r.

Jednak do dziś projekt się nie rozpoczął. – Mieszkańcy to prości ludzie. Wierzyli, że zarobią ogromne pieniądze na tej inwestycji. Nie mają jednak świadomości, że zniszczy ona nasze jezioro i negatywnie wpłynie zarówno na rośliny, jak i zwierzęta – podkreśla ksiądz. – Na stałym lądzie, gdzie chcieli odebrać tubylcom ziemię, ludzie protestowali. A tutaj wszyscy się cieszyli, że dostaną pracę albo będą wynajmować kwatery dla robotników – dodaje.

Jezioro na razie uratowane

O budowie kanału na południu Nikaragui mówi się właściwie od czasu, gdy kartografowie wykazali, że na tym odcinku cały kontynent amerykański jest najwęższy. Najbardziej poważne próby podejmowano w połowie XIX w., gdy Amerykanin Cornelius Vanderbilt podpisał z rządem Nikaragui umowę na zaprojektowanie kanału.

Przedsiębiorca jednak szybko zorientował się, że projekt może być ryzykowny ze względu na aktywność wulkanu Concepción. Zarzucił swój pomysł i zdecydował, by wykorzystać naturalną trasę przez jezioro Nikaragua i rzekę San Juan, która wypływa z jeziora Cocibolca i płynie do Morza Karaibskiego, będąc na całej długości żeglowną. Natomiast odcinek od jeziora do Pacyfiku towary pokonywały za pomocą wozów konnych. W ten sposób droga ułatwiała handel między wschodnim i zachodnim wybrzeżem USA.

Kiedy jednak w 1914 r. Amerykanie otworzyli Kanał Panamski, szlak stracił rację bytu, a dyskusje na temat przekopu kanału w Nikaragui się zakończyły. Nowe nadzieje rozbudzili dopiero Chińczycy.

– Na szczęście wulkan uratował nasze jezioro, Chińczycy przestraszyli się Niepokalanego Poczęcia – powtarza z nieskrywaną satysfakcją padre Tigerino.

© MARCIN RYCHŁY



Tam skarb twój, gdzie serce twoje

KAROL FRYTA Z ROSJI

Niektórzy, jak Igor z Tomska, języka przodków uczyli się z książek Sienkiewicza. Jak Polacy z Syberii odkrywali swoje korzenie?

TO PRZEDSIONEK SYBERII I MIASTO obciążone piętnem carobójstwa. Tu, w Jekaterynburgu, nocą z 16 na 17 lipca 1918 r. bolszewicy rozstrzelali cara Mikołaja II wraz z rodziną. Obecnie jest to czwarte co do wielkości miasto Rosji i ważny ośrodek biznesowy.

Z Antoniną Umińską, dyrektorką Szkoły Języka i Kultury Polskiej, spotkam się w centrum. Z cokołu zerkna na nas Lenin.

Początki formowania się Polonii w tym mieście sięgają upadku Związku Sowieckiego.

W 1992 r. Czesława Pietuszko rejestruje Stowarzyszenie Polaros i zostaje jego pierwszym prezesem. Sprzyja temu klimat polityczny i wielonarodowość tego miasta. Swoje związki mają tu Mongołowie, Czesi, Baszkirzy, Ormianie, Ukraińcy i wiele innych nacji.



Zabytkowe budownictwo w Tomsku

– Czesława pochodziła z Kresów, z okolic Przemyśla. Podczas wojny została sierotą i dzieciństwo spędziła w domu dziecka, w którym zakazano jej mówić po polsku. Stowarzyszenie założyła już na emeryturze, bo przeżywała, że potomkowie Polaków żyjących w Rosji nie mówią po polsku – wspomina Antonina Umińska.

Także w 1992 r. udaje się reaktywować tu rzymskokatolicką parafię św. Anny, a w 1997 r. do miasta przyjeżdżają palotynki. Wśród nich siostra Mirosława Włodarczyk, polonistka, która prowadzi zajęcia z polskiego. – Gdy zaczęła mówić, to nagle dziwnie się poczułam. Wszystko rozumiałam – mówi Umińska.

Jekaterynburg: kim się czuję

Antonina Umińska pokonała długą drogę, by zostać dyrektorką szkoły.

Sowieci deportowali jej rodzinę z Wołynia do Kazachstanu, gdzie się urodziła w 1966 r. W 1990 r. zdobyła dyplom fi-

lologa rosyjskiego na uniwersytecie w Omsku, a rok później zaczęła studiować zaochnie historię sztuki na Uralskim Uniwersytecie Państwowym w Jekaterynburgu.

– Zakochałam się w tym mieście, zrezygnowałam z obywatelstwa kazachskiego i wystąpiłam o rosyjskie. Decyzja zbiegła się z kryzysem ekonomicznym w Kazachstanie na początku lat 90. Było ciężko. Choć dziadek powtarzał, że nie wiemy, co to jest głód – mówi Umińska.

W domu rodzice przyszłej dyrektorki nie mówili już po polsku. Po 1991 r. rodzina Antoniny zaczęła jednak jeździć do Polski, bo odnalazła krewnych. – Nie chciałam jechać do Polski bez znajomości języka. W ten sposób trafiłam na zajęcia polskiego. Kiedy usłyszałam „Cichą noc” i „Gdy się Chrystus rodzi”, to aż mnie ścisnęło, bo przypominało mi się, jak dziadek śpiewał te kolędy – wspomina Antonina. – Pyta pan, kim się czuję? Trudno powiedzieć. Język mojej matki to rosyjski, w Kazachstanie się wychowałam, przodków mam z Polski...

Naukę w jej szkole zwykle zaczyna ok. 20 osób, kończy połowa. Części brakuje motywacji, inni przychodzą na chwilę. Przez placówkę przewinęło się kilka nauczycielek oddelegowanych z Polski. Pierwsze, które przyjeżdżały, zarabiały tak mało, że uczniowie zrzucali się, by pomóc wynająć im mieszkanie. Obecnie nauczyciele nie dostają pieniędzy za pracę; także dla dyrektorki to praca społeczna, bo szkoła nie otrzymuje już dofinansowania.

– Przychodzą do nas nie tylko ludzie starsi, którzy w czasach komunizmu próbowali czytać Sartre’a i Camusa po polsku, bo rosyjskich wydań nie było. Coraz więcej młodych ludzi ciekawych jest współczesnej Polski – mówi Antonina.

Zajęcia odbywają się w piwniczce zaprzyjaźnionej szkoły artystycznej. Przez lata w szkole udało się zgromadzić pokazny zbiór literatury, słowniki, gry planszowe. W niewielkim pomieszczeniu wisi godło Polski.

Nauka języka to nie tylko wkuwanie gramatycznych reguł. – Dużo rozmawiamy o współczesnej Polsce, bo praca polonijna to nie tylko folklor. Ważne jest, by nikt się nie rozczarował, że po przyjeździe do Warszawy ludzie nie chodzą w stroju krakowiaka i nie mówią Sienkiewiczem – śmieje się Antonina Umińska.

Tomsk po raz pierwszy: krew nie woda

To miasto leży na obszarze historycznej Syberii. Przez dwa wieki, XVIII i XIX, rozwijało się dynamicznie – do czasu, gdy szlak kolei transsyberyjskiej ominął Tomsk. Do guberni tomskiej trafiali nie tylko zesłańcy, ale i dobrowolni przesiedleńcy w poszukiwaniu ziemi i lepszych warunków życia. Polacy zostawili trwałe ślady w Tomsku, gdzie pracowało m.in. kilkunastu polskich architektów, w tym Wincenty Orzeszko (spowinowacony z Elizą Orzeszkową).

Poznaję tu 43-letniego Igora Iwanowskiego, jego syna Eliasza i żonę Innę. Mężczyźni nauczyli się polskiego, bo czują się Polakami. A wszystko zaczęło się kilka lat temu, gdy nieznaną kobietą o imieniu Sabina szukała kogoś z rodziny Iwanowskich. Trafiła do Igora. – Dowiedziałem się, że Iwanowscy przyjechali na Syberię i założyli wieś Pietropawłówkę. Doszedłem do tego, że moi przodkowie pochodzili z Wileńszczyzny – wspomina Igor. – We wsi były trzy katolickie rodziny Iwanowskich. Może za wiele w Pietropawłowce nie było, ale potrzeba klęknęcia przed krzyżem istniała, więc we wsi stanął duży czarny krzyż.

Potwierdzenie tego, że Igor ma polskie korzenie, przyszło w lutym 2018 r.: w liście z Warszawy, z Wojskowego Biura Historycznego. Igor przeczytał w nim, że jego dziadek Franciszek Iwanowski został wcielony w 1944 r. do Wojska Polskiego [armii Berlinga – red.]. – Rozwiały się moje wątpliwości. Muszę powiedzieć, że urońiem łzę – mówi Igor. – Od dawna czułem, że nie mogę znaleźć swojego miejsca. Moja pamięć genetyczna dawała mi do zrozumienia, że nie do końca jestem Rosjaninem. Jak mawiają, krew nie woda.

List był już tylko przypiecztowaniem dłuższego procesu, bo kilkanaście lat wcześniej Igor zaczął swoją „repolonizację”. – Postanowiłem sam nauczyć się polskiego. Wziąłem „Pana Wołodjowskiego” i zacząłem czytać – wspomina.

Potem poszło z górki. Książki Chmielewskiej, Sienkiewicza i Mickiewicza, z naciskiem na „Dziady”, w których wystąpił podczas amatorskiego występu teatru w Wilnie. – Grałem rolę starca. W Wilnie poczułem się jak w domu. Nawet kiełbasę kupowałem po polsku, choć to teraz nie jest polskie miasto.

Siedzimy w dwupokojowym mieszkaniu Igora na parterze w bloku. Zimą →

→ śnieg sięga do połowy okna. Jak przydusi 40-stopniowy mróz, wszystkiego się odechciewa. Na lodowce polskojęzyczne zwroty, łamańce językowe. Igor rzuca sloganami reklamowymi z Radia Zet, którego słucha w drodze do pracy. – Spytałem kiedyś przyjaciółkę z Lublina, jak ocenia mój polski. Powiedziała, że piszę dobrze, ale używam języka, który w Polsce stosowany był 150 lat temu. Wyobrazasz sobie? Ktoś z Polski przyjeżdża na Syberię, a ja wychodzę i mówię do niego Sienkiewiczem? Tylko szabli mi brakuje!

– Igor, a na co ci ten polski? – pytam.

– Chciałbym się przenieść do Polski, bo życie tu jest ciężkie. A jeśli nawet nigdy bym nie pojechał do kraju przodków, to ich język trzeba znać.

Tomsk po raz drugi: rozmowy w piwnicy

Kolejna wizyta w Tomsku to spotkanie w więzieniu NKWD, które zamieniono na Muzeum Historii Represji Politycznych. Rezyduje tu Wasyl Haniewicz: historyk, ekspert od dziejów Polaków na terenie obwodu tomskiego. Siedzimy w piwnicy byłego więzienia, gdzie Haniewicz ma biurko.

– Moi przodkowie pochodzili z Grodzieńszczyzny, przyjechali na Syberię dobrowolnie skuszeni ziemią, którą im oferowano – opowiada historyk. – Pradziadek Józef Haniewicz wraz z bratem Janem i kilkoma innymi rodzinami osiedlili się w północno-zachodniej części obwodu. Założyli wieś Białystok. Urodziłem się w niej, wychowałem, a mój 89-letni ojciec wciąż tam mieszka. Z kolei rodzina matki to przesiedleńcy spod Białej Podlaskiej.

O syberyjskim Białymstoku zrobiło się głośno w 2017 r., gdy we wsi spłonął drewniany kościół (społecznicy i księża z Tomaska zorganizowali zbiórkę, będzie odbudowany). Żyje tam wciąż spora grupa ludzi mających korzenie polskie, ale rzadko kto mówi w tym języku. Młodzi nie są zainteresowani rodowodem. Zresztą kto może, ucieka do miasta. – Dla mnie to osobista tragedia. To była piękna wieś. Z klubem, szkołą. Teraz nie ma tam nic, dzieci na zajęcia dojeżdżają do sąsiedniej Pudowki – mówi Haniewicz.

W więziennej piwnicy siedzimy we troje: jest z nami wesoła brunetka, profesor Aleksandra Guziejewa, która szeptem stowarzyszeniu Kulturalna Autonomia Polaków Tomaska Polonia i uczy polskiego na Uniwersytecie Pedagogicznym, w Centrum Nauki Języka Polskiego. Od

1999 r. Centrum wspierane jest przez Uniwersytet Wrocławski, studenci z obu krajów jeżdżą na wymianę.

Guziejewa, absolwentka matematyki stosowanej, na rzecz mowy przodków porzuciła kierunki ścisłe. – Moi pradziadkowie przyjechali z Wileńszczyzny dobrowolnie w 1911 r. Syberia stanowiła dla nich romantyczne wyzwanie, ze względów ekonomicznych. Brakowało specjalistów, można było zrobić karierę. Wiem, że potem, w latach 30. XX w., pradziadek żałował tej decyzji. W czasie stalinowskich represji rozstrzelano trzech jego synów i spośród czworga rodzeństwa ocalał tylko mój dziadek. I to przez przypadek, bo studiował leśnictwo i był akurat na praktykach, gdy NKWD chciało go aresztować – opowiada Guziejewa.

– Dziadek już nie żyje, ale był zadowolony, że zainteresowałam się historią rodziny i porzuciłam matematykę na rzecz językoznawstwa – dodaje.

Nowosybirsk: Polska jest miłością

W ciągu ponad 126 lat istnienia Nowosybirsk rozrósł się do ponad półtora miliona mieszkańców, a codziennie do pracy dojeżdża tu 100 tys. ludzi spoza granic tej nieoficjalnej stolicy Syberii. Miasto przytłacza ogromem, ale wydaje się siermiężne ze względu na brak historycznego centrum i wszechobecną zabudowę w stylu socrealizmu.

Spotykam doktor biologii Zofię Judanową, która szefuje Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowemu Dom Polski. Zofia mieszka i pracuje w Akademogorodoku: to dzielnica-moloch, jedno z największych centrów edukacyjnych w kraju, z dziesiątkami instytutów badawczych.

Początki organizowania się Polonii w Nowosybirsku sięgają końca lat 70. XX w., choć formalnie stowarzyszenie udało się zarejestrować dopiero w 1991 r. Potem różnie bywało z aktywnością jego członków, bo po śmierci Ireny Chrułowej, animatorki życia polonijnego w mieście, aktywność stowarzyszenia przygasła.

Ostatnie 10 lat to ożywienie działalności Domu Polskiego. Przy stowarzyszeniu działa szkoła języka polskiego. Obecnie nauczycielką nie jest polonistka, lecz pracownica instytutu jądrowego, która dzieli się swoją wiedzą społecznie (poprzednie nauczycielki wyjechały do Petersburga).

Korzenie Zofii Judanowej sięgają kresowej Szarkowszczyzny koło Witebska,

skąd pochodzi jej babcia. Po objęciu władzy przez bolszewików jej rodzina przenieśli się do ówczesnego Piotrogradu (Petersburga). Podczas oblężenia miasta w czasie II wojny światowej zginęła większość rodziny pani Zofii; przeżył tylko jej przyszyły ojciec wraz z siostrą i ciocią. Po wojnie rodzeństwo trafiło do domu dziecka w Kraju Ałtajskim; dopiero po kilku latach odnalazła ich ciocia. Po różnych zawirowaniach, ostatecznie osiadł w Nowosybirsku, gdzie urodziła się Zofia.

Wiedząc, że ma korzenie polskie, ojciec odszukał kuzynów w Polsce i napisał do nich. Spotkali się w pociągu na granicy w Terespolu. Wzruszony konduktor udostępnił im cały przedział, by mogli opowiedzieć sobie historię życia.

– Pierwszy raz do Polski przyjechałam w 1988 r. – wspomina szefowa nowosybirskiej Polonii. – Gdy wróciłam do Rosji, zaczęłam sama uczyć się języka, potem przez trzy miesiące uczęszczałam na kurs na uniwersytecie. Chciałam uczyć się w Polsce, ale się nie udało.

– Czym dla pani jest Polska? – dopytuję.

– Miłością. Tak się złożyło, że jestem Rosjanką, ale polskiego pochodzenia. Czuję się Polką. Bliżej mi do Warszawy niż Moskwy.

Gornoałtajsk: drzewo genealogiczne

To stolica Republiki Ałtaju i zarazem jedynym miasto w tej jednostce administracyjnej Federacji Rosyjskiej, przez które przebiega górzysty i malowniczy Trakt Czujski. Droga, na której w 1995 r. zginęła utalentowana piosenkarka Tatiana Śnieżyna, ciągnie się do Mongolii. Poza tym miasto Gornoałtajsk nie zapada w pamięci; choć warto odnotować, że w muzeum regionalnym można obejrzeć 2500-letnią mumię, zwaną syberyjską księżniczką z Ukoku.

Spotykam się z Mariną Worobjewą, wykładowczynią na wydziale języków obcych na Gorno-Ałtajskim Uniwersytecie Państwowym. Marina zna polski, angielski i niemiecki. Jednocześnie jest prezeską Polskiego Narodowo-Kulturalnego Zjednoczenia Zdrój.

– Istniejmy od 10 lat i prowadzimy wiele działań związanych z polską kulturą – mówi Marina Worobjewa. – Organizujemy spotkania, podczas których przedstawiamy sylwetki znanych Polaków, prezentujemy kuchnię polską, obchodzimy święta polskie, do tego docho-

dzą wystawy, coroczny festiwal narodowości. Współpracujemy też z płockim Regionalnym Stowarzyszeniem Wschód-Zachód.

W Gornoaltajsku poznaję również dr Tatianę Szczerbakową (Kugajewską). Jest spowinowacaną z Edwardem Piekarskim – zesłańcem, etnografem i lingwistą, autorem monumentalnego dzieła: słownika języka jakuckiego. Piekarski, podobnie jak kilku innych Polaków, jest w Jakucji postacią szczególną. Jego imieniem nazwano jedną z ulic w Jakucku. Dom, w którym mieszkał przez 18 lat, został rozebrany i przewieziony do muzeum etnograficznego w Czerkiochu.

Okazuje się, że siostra dziadka doktor Szczerbakowej była żoną polskiego językoznawcy. – Dowiedziałam się przez przypadek, że należy on do mojej rodziny. Tworzyłam nasze drzewo genealogiczne – wyjaśnia kobieta. – Od tego odkrycia zainteresowałam się Piekarskim, napisałam kilka artykułów na jego temat, jeździłam na konferencje. Obecnie kontaktuję się z ludźmi na Białorusi, bo tam się urodził. Mam nadzieję, że dowiem się o nim więcej.

Barnauł: królewicz i chmura

Wandę Jarmolińską z Barnaułu w Kraju Altajskim zna chyba każdy Polak na Syberii. To kobieta-instytucja: piosenkarka, krawcowa, tłumaczka, animatorka życia polonijnego, szefowa Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Obwodu Altajskiego Dom Polski.

– Polskie piosenki śpiewałam, jeszcze nim powstało nasze stowarzyszenie – mówi Wanda Jarmolińska. – Od 20 lat szyję stroje ludowe. Przez to człowiek czuje więź z krajem. Zresztą, ile można rozmawiać o Polsce bez działań? Praca lepiej jednoczy niż gadanie.

Wanda mówi, że wzory strojów ludowych czerpie z wizyt w polskich muzeach. – Mam dobrą pamięć, a szczegóły sprawdzam w internecie.

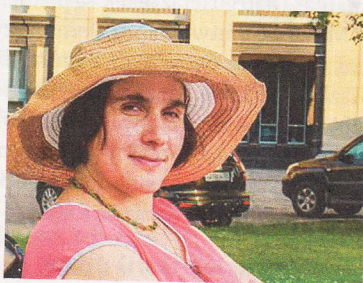
Oglądamy stroje. Podczas przekopywania się przez wieszaki Wanda zaczyna opowieść o innych inicjatywach artystycznych. Przy stowarzyszeniu funkcjonuje zespół Polskie Kwiaty („Nie kieruję nim, bo źle wygląda, gdy prezes zajmuje się wszystkim”) i Teatr Polski Konwalia („Tym kieruję”). – Napisałam kilka lat temu balladę muzyczną do wiersza Marii Konopnickiej „Konwalia” – Wanda



ANTONINA UMIŃSKA, Jekaterynburg:
Kim się czuję? Trudno powiedzieć. Język mojej matki to rosyjski, w Kazachstanie się wychowałam, przodków mam z Polski...



WANDA JARMOLIŃSKA, Barnauł:
Od 20 lat szyję stroje ludowe. Przez to człowiek czuje więź z krajem.



ZOFIA JUDANOWA, Nowosybirsk:
Czym dla mnie jest Polska? Miłością. Tak się złożyło, że jestem Rosjanką, ale polskiego pochodzenia. Bliżej mi do Warszawy niż Moskwy.



WASYL HANIEWICZ, Tomsk:
Pradziadek z bratem Janem i kilkoma innymi rodzinami założyli wieś Białystok. Urodziłem się w niej i wychowałem.

Jarmolińska rozkłada nad głową szarą chmurę, element scenografii. – I sama ją śpiewałam. W 2018 r. przyszło do stowarzyszenia kilka utalentowanych osób, więc zrobiliśmy to na role. Jest Królewicz, jest Drzewo. Niech pan posłucha...

Rodzina matki Wandy Jarmolińskiej mieszkała w Baranowiczach. Po inwazji Niemiec na Związek Sowiecki uciekli aż na Altaj. Dziadek dobrowolnie poszedł na front, zginął w bitwie pancernej na Łuku Kurskim, więc trzyletnia wówczas matka Wandy Jarmolińskiej nawet nie pamiętała ojca. Po wojnie, wraz z babcią, wróciła do Baranowicz, ale nie zagrzała tam długo miejsca, bo miasto nie nadawało się do życia. Ostatecznie matka z córką osiadły w Kaliningradzie, gdzie przyszła mama Wandy Jarmolińskiej skończyła technikum, a potem wyjechała na Altaj.

– W połowie lat 50. XX w. w Związku Sowieckim zaczęła się kampania, której celem było pobudzenie słabo rozwiniętych ziem. Altaj cierpiał na niedobór specjalistów. Dlatego mama po skończeniu studiów w Barnaule postanowiła tu zostać – wyjaśnia Wanda Jarmolińska. – Całe życie czułam w sobie polską krew, bo matka zawsze przypominała, że jej ojciec był Polakiem. Gdy byłam nastolatką, podczas szkolnej wycieczki do Moskwy kupiłam podręcznik do nauki polskiego. I tak sobie całe życie do niego zerkiałam. W końcu nauczyłam się polskiego, jeździłam na szkoły letnie do Polski. Trudno zliczyć, ile nocy nie przespałam, żeby ludziom tłumaczyć urzędowe pisma, gdy starali się o Kartę Polaka.

Wanda Jarmolińska mówi, że gdy słyzy słowo „Polska”, robi się jej cieplej na sercu.

Abakan: dom jest tam, gdzie nasi krewni

Miasto jest stolicą Republiki Chakasji, na której terenie żyją w większości potomkowie przymusowych i dobrowolnych osadników z początku XX w. Na tych terenach udało się lepiej zachować polską tożsamość, o czym świadczą m.in. polskie wsie Aleksandrowka i Znamienka. Można tam spotkać potomków Mazurów, mówiących gwarą.

W Abakanie spotykam Olgę Sedych, nauczycielkę w Szkole Języka Polskiego i Kultury Polskiej. – Szkoła istnieje od 25 lat, jestem jej absolwentką. Uczylam się pod okiem Sergiusza Leończyka, jeździłam na letnie kursy do Krakowa ⇨



KAROL FRYTA

WALENTYNA SZYMAŃSKA, Jakuck.

Gdy przyjechałam z Kazachstanu, postanowiłam oddać hołd moim przodkom i wszystkim zesłańcom.

→ i Poznania. Mieszkałam w Polsce dwa lata, skończyłam tam studia podyplomowe – mówi Olga.

Czy nie chciała zostać w Polsce? – Nie wiem... Moja babcia była Polką, kraj jest piękny, uwielbiam go, ale nasz dom jest tam, gdzie nasza rodzina i krewni.

– Jak moja babcia znalazła się w Rosji? – Olga powtarza pytanie. – Jej dziadek, Adam Smolicz, pochodził z Krakowa. W poszukiwaniu ziemi trafił do wsi Sarybalyk w obwodzie nowosybirskim. Tam w 1920 r. urodziła się babcia. Wieś była niemal całkowicie polska, w szkole, kościele i domu mówiło się po polsku. Późniejsze represje oznaczały zakaz mówienia w tym języku. Gdy pradziadek został rozstrzelany, moja babcia wraz ze swoją matką uciekły ze wsi. Potem babcia wyszła za mąż, urodziła troje dzieci, w tym Helenę, moją mamę – opowiada Olga.

Rodzina trafiła do Abakanu. Gdy w mieście zaczęła organizować się Polonia, na początku lat 90. XX w., Olga z mamą dołączyły do tego środowiska. Jego animatorem był dr hab. Sergiusz Leończyk. Olga ukończyła filologię rosyjską, pracowała jako dziennikarka w lokalnych „Argumentach Sukcesu”. – Jednak gazeta nie odniosła sukcesu i zmieniłam pracę – śmieje się Olga. – Od 20 lat

uczę polskiego, z przerwami na urodzenie Iwana, Zosi i Ani.

Idziemy z Olgą na lekcję, którą poprowadzi. Uczniowie to kilkuosobowa grupa, w różnym wieku i o różnej motywacji. Ktoś chce wyjechać na studia do Polski, innego interesuje język i kultura, ktoś inny chce się starać o Kartę Polaka. Olga jest trochę „pod ścianą”, bo sytuacja trudna, od 2015 r. władze republiki odcięły pieniądze na naukę. Dlatego teraz lekcje są płatne.

– Mówi się o utworzeniu Domu Przyjaźni, w którym swoje siedziby miałyby związki narodowe. Może wówczas wróciłoby finansowanie szkoły? – zastanawia się Olga. – W tej chwili mamy tylko wsparcie z konsulatu polskiego na opłacenie pomieszczeń, gdzie odbywają się zajęcia.

Jakuck: lęk tkwił długo

To już Daleka Północ Rosji, panują kilkudziesięciostopniowe mrozy i wieczna zmarzlina.

Polacy mają tu status honorowy, bo wśród zesłańców wyróżniło się ich kilkunastu. Najbardziej znani to Waclaw Sieroszewski (autor m.in. „12 lat w kraju Jakutów”), wspomniany już językoznawca Piekarski, geograf Jan Czerski (na jego cześć nazwano kilka szczytów i łańcuchów górskich oraz miasto) i geolog Aleksander Czekanowski.

– Jakucja to już inna Syberia – zastrzega Walentyna Szymańska, przewodnicząca tutejszej Polonii. – Wszędzie warunki były ciężkie, ale tu są szczególnie trudne. Jeszcze 20-30 lat temu ludzie mieszkali w drewnianych domach krytych gliną, tzw. bałaganach. W środku, w kącie, było ognisko, dalej zasłonka, aby kobieta mogła się przebrać. A na zewnątrz 50 stopni mrozu...

Przodkowie Walentyny zostali zesłani z Kamieńca Podolskiego do Kazachstanu. Jej dziadek został zamordowany przez NKWD w więzieniu w Karagandzie. – Dlatego gdy przyjechałam z Kazachstanu, postanowiłam oddać hołd moim przodkom i wszystkim zesłańcom. W 1995 r., już na emeryturze, założyłam polonijne stowarzyszenie – mówi Walentyna. – Szukałam potomków Polaków, ale nikt się nie odzywał, bo ludzie wciąż pamiętali łagry i zesłania. Jeszcze tkwił w nich lęk.

Walentyna Szymańska podkreśla dużą rolę Jakutów, którzy wspierali ją w założeniu stowarzyszenia. W latach 90. wszyscy znali nazwiska najślynniejszych Polaków w Jakucji, ale tylko wąska grupa miała świadomość, jakiej byli narodowości. – Dla Jakuta każdy zesłany był po prostu Rosjaninem – mówi. – Nawet w Polsce do czasów wydania książki Witolda Armona „Polscy badacze kultury Jakutów” wiedza na ten temat była niewielka. Postanowiłam zająć się upowszechnianiem tej wiedzy.

Pokłosiem tych działań było sześć międzynarodowych konferencji, Dni Kultury Jakucji na Uniwersytecie Warszawskim i Dni Kultury Polskiej w Jakucji. Ukazała się książka „Polacy w Jakucji”. Walentyna była też zaangażowana w ustawienie symbolicznego koniowiązu w miejscu, gdzie stał dom zesłańca Aleksandra Sipowicza. Ten był student medycyny bezpłatnie leczył Jakutów, a pamięć o nim trwa do dziś. Jakucka Polonia zadbała też o utworzenie pamiątkowego bałaganu Edwarda Piekarskiego w Czerkiochu.

Ukoronowaniem tych działań jest ustawienie czterech głazów, upamiętniających polskich badaczy-zesłańców i oddających hołd ofiarom represji komunistycznych. Na kamieniach znalazły się nazwiska Sieroszewskiego, Czerskiego, Czekanowskiego i Piekarskiego.

Stoimy przy głazach. Rozmawiamy o przyszłości stowarzyszenia, którego istnienie stoi pod znakiem zapytania, ze względu na niewielką liczebność polskiej diaspory w Jakucku.

– Mam swoje lata, jestem już trochę zmęczona – wzdycha Walentyna Szymańska. – Chciałabym w 2020 r. zrobić jeszcze obchody 25-lecia stowarzyszenia, ale zastanawiam się, co potem? Kto będzie chciał się dalej angażować w prace jakuckiej Polonii? © KAROL FRYTA



KAROL FRYTA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 19 lutego o godzinie

7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl